OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM CENA 30 GROSZY

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA

DWUTYGODNIK 15 MARZEC 1938 NR 5 ROK VI

POLITYCZNA ROLA WILNA

Gdy mówić chcemy o politycznej roli dzielnicy naszej w Rzeczypospolitej, nasuwa się pytanie natury zasadniczej: Czy można poszczególnym dzielnicom państwa przypisywać jakieś odrębne, szczególne role polityczne. Nie będziemy czytelnika nudzili uwagami wstępnymi. Na postawione pytanie odpowiadamy twierdząco.

Są liczne problemy, ogromnej nieraz doniosłości politycznej, które się tylko w niektórych dzielnicach państwa przejawiają. Przykładem może być u nas sprawa ukraińska, przejawiająca sią tylko na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Jest oczywiste i uzasadnione, że ludzie danej dzielnicy są w szczególny sposób powołani do wypracowania właściwego programu w takiej kwestii. Bo któż może lepiej zrozumieć trudności i możliwości danej sprawy, jak nie obywatele, którzy się z nią ustawicznie w życiu praktycznym stykają. Wytycza to rolę polityczną, którą dzielnica ma do spełnienia.

Stwierdzamy: polityczna rola dzielnicy polega na tym, by znaleźć właściwe, odpowiadające ogólnej racji stanu, rozwiązanie przejawiającego się tam problemu i aby to słuszne rozwiązanie narzucić całemu państwu.

Powiemy, że dzielnica dobrze spełnia swoją rolę, jeżeli zachodzą dwa warunki:

1) W sprawie, która się na tej ziemi przejawia, wypracowany został program, odpowiadający interesom całości narodu i państwa, a nie tylko biorący pod uwagę interesy partykularne miejscowej ludności.

2) Właściwy punkt widzenia został całemu państwu narzucony i przez politykę oficjalną uznany za stanowisko obowiązujące.

Niewątpliwie Lwów potrafił narzucić naszej polityce oficjalnej swój punkt widzenia na sprawę ukraińską. Ale jest to program wybitnie partykularny, nie liczący się z dalekosiężnymi celami państwa. Lwów realizuje warunek ad 2, ale nie spełnia warunku pierwszego. Wilno nie spełnia, niestety, żadnego z tych warunków.

* * *

Jakież są problemy polityczne, które się na terenie Ziemi Wileńskiej przejawiają? Istnieją trzy zagadnienia:

1. Sprawa litewska.
2. Sprawa białoruska.
3. Sprawa sytuacji ogólnej—„problem worka".

Zagadnienie litewskie i białoruskie wymagają osobnego omówienia. Będziemy mówić tylko o problemie „worka", tym bardziej, że stanowi on właściwie skrót i syntezę tamtych dwóch zagadnień.

Popatrzmy na mapę! Wileńszczyzna stanowi rodzaj worka mocno zasznurowanego. Na zachodzie granica zamknięta, na wschodzie też zamknięta. Tylko małe okienko stukilometrowej granicy łotewskiej. Ta sytuacja worka jest przyczyną nędzy i stagnacji ziem wschodnich, będących awangardą państwa. Trzeba znaleść wyjście ze ślepego zaułka.

Zanalizujmy głębiej sytuację. Popatrzmy na wielką plamę na mapie, rysującą się za naszą granicą wschodnią. Przypomnijmy czym jest Rosja.

Można sobie w tej kwestii pozwolić na znaczny skrót. Rosja jest to:

a) państwo permanentnej, nieustającej rewolucji (Tuhaczewski, Radek, Zinowiew, Jegorow, Krestinskij, Bucharin i t. d. i t. d.);

b) państwo, które dziś, tak samo jak i przed wojną, jest więzieniem narodów, dążących do odzyskania swej niepodległości (Ukraina, Kaukaz, Turkiestan, Krym, Karelia, wreszcie Białoruś).

c) państwo zagrożone na wschodzie przez Japonię i niechybnie gotujące się tam do rozprawy.

Możnaby jeszcze dodać element 4-ty. Dwa narody przez Z. S. S. R. uciemiężone zamieszkują też częściowo nasze terytorium, a przeto łatwo da się pomyśleć powiązanie tych narodów z polską racją stanu. Proste przypomnienie tych elementów wskazuje, gdzie szukać należy rozwiązania problemu „worka".

Można oczywiście postawić zarzut niebezpieczeństwa z zachodu. Zarzut słuszny! Wybrnięcie pomiędzy Scyllą — Rosją i Charybdą — Niemcy jest trudne. Dylemat ogromnie skomplikowany, ale właśnie dlatego nie można wszystkiego stale ab ovo powtarzać. Raz już o tym pisaliśmy na marginesie książki Adolfa Bocheńskiego. Do tej książki odsyłamy naszych oponentów.

Powtarzamy zresztą, cośmy wtedy pisali. Uniknąć należy błędu przesadnej aktualizacji. Nikt nie twierdzi, że moment rozstrzygnięcia już zaistniał, nikt też w Polsce nie nawołuje do wypowiedzenia wojny Z. S. S. R. Chodzi o założenia ogólne. Chodzi o linię orientacyjną naszej polityki na dalszą metę. Wiedzieć trzeba dokąd idziemy.

Państwo permanentnej rewolucji i chaosu, „chory człowiek", państwo zagrożone przez Japonię, państwo—więzienie narodów, z których dwa związane są ściśle z losami Polski. Te elementy każą wytyczyć program rozwiązania worka. Mówimy w dalszym ciągu skrótami: Rozbicie kolosa rosyjskiego, wyzwolenie narodów uciemiężonych i skupienie ich przy Polsce. — Raz jeszcze, uniknijmy przesadnej aktualizacji, chodzi o wytyczne ogólne, o tendencje dalekosiężne i stałe.

* * *

Na zachodniej naszej granicy (mowa o Wileńszczyźnie) mamy także mur chiński. Mur jeszcze bardziej denerwujący, gdyż oddziela nas od narodu, do którego nikt w Polsce innych uczuć jak przyjazne nie żywi. Nie będziemy się w tym miejscu kusili na wyczerpujące omówienie sprawy litewskiej...

Postulat przebicia tego muru jest tak bardzo oczywisty, że powtarzanie tego zdaje się oczywistym truizmem. Widzimy minimalne i maksymalne rozwiązanie tej bolesnej i zawiłej sprawy, jaką jest konflikt polsko-litewski. Rozwiązanie minimalne: nawiązanie z Litwą normalnych stosunków sąsiedzkich. Maksymalne: federacja Polski i Państw Bałtyckich z udziałem Litwy.

Poprzestaniemy znów na twierdzeniu ogólnym, zostawiając omówienie na później. Celem naszym winno być rozwiązanie maksymalne. Polska powinna dążyć do federacji państwowej z Litwą i Państwami Bałtyckimi. Wysuwamy ten postulat jako cel ostateczny, cel na daleką metę.

Ma być on drogowskazem, jak rozbicie Rosji w polityce wschodniej.

Federaliści wileńscy liberalnego autoramentu marzą tylko o związku państwowym z Litwą. My idziemy dalej. Różnicę tę podkreślamy z naciskiem. Celem naszym związek Polski i Państw Bałtyckich. Polska—Litwa—Łotwa—Estonia. Związek dobrowolny państw suwerennych i niepodległych. Dobrowolny więc z prawem wystąpienia ze związku.

* * *

Snujemy zarys wielkiego programu politycznego Polski. Program ten można by nazwać federacyjnym, albo — jeśli kto woli — imperialistycznym. Nie będziemy myśli swoich szufladkować. Mniejsza o terminy, mniejsza o etykietkę. Federacjonizm zepsuł sobie reputację, a z imperializmem łączą się wyobrażenia polityki zaborczej. Wolimy już mówić o idei jagiellońskiej, choć i ten termin ma swoje braki. Adolf Bocheński powiedział: „Idea prometejska". Termin szczęśliwy, bo termin nowy... Ale powtarzamy... Mniejsza o nazwę.

Każdy kto zna rzeczywistość polityczną Polski rozumie, jak bardzo dalecy jesteśmy od uznania lub, choćby tylko, zrozumienia tych ideałów przez opinię.

Dlatego — w tym świetle — rola Wilna rysuje się ze szczególną jaskrawością. Wilno ma tę myśl wielką podjąć, rozwinąć i całej Polsce narzucić. To jedyna, wyłączna szansa. Tylko przez Wilno...

A teraz zapytajmy: Jakież są możliwości na miejscu, u nas. Jakie są szanse by czynić z Wilna ośrodek promieniujący polskiej politycznej myśli „prometejskiej".

* * *

Gdy snujemy te myśli i potem porównać chcemy z tym co jest, z tym co realnie Wilno reprezentuje, to kontrast okazuje się tak jaskrawy, że przykro jest pisać... że się nawet myśleć nie chce.

NADESZŁA CHWILA

Jak grom z jasnego nieba, spadła na cały świat wiadomość o wkroczeniu wojsk niemieckich do Austrii. Dziwnym zbiegiem okoliczności równocześnie zupełnie władze litewskie pozwoliły sobie na zuchwałą prowokację względem Polski.

Opinia polska przeżyła mocny wstrząs, jaki się rzadko u nas powtarza. Wszyscy zrozumieli, że nadeszła chwila decydujących rozstrzygnięć, że uderzyć wreszcie trzeba w czynów stal.

Nie wiadomo, jak się rozwiną wypadki. Ale rozumie to cały naród, że coś się stać musi. Stosunki polsko - litewskie muszą wejść w nową fazę. Niepodobna powrócić do straszliwego nonsensu, który ze szkodą dla stron obu trwa bez przerwy od osiemnastu lat.

W artykule wstępnym piszemy o programie maksymalnym i minimalnym w sprawie litewskiej. Wybiła godzina, gdy przynajmniej program minimalny musi być zrealizowany. Moment taki może nie prędko się powtórzy. Zmarnować go nie wolno. Szanując suwerenność Litwy, rozbić należy mur chiński, zmusić naszych sąsiadów do zaniechania bezmyślnego oporu.

Nasuwają się ważkie wspomnienia. Biegniemy myślą wstecz, w przeszłość naszego narodu. Ileż to razy nie wykorzystaliśmy w historii nasuwających się możliwości. Ileż zmarnowanych sytuacji. Historia nasza to zaiste cmentarzysko wspomnień o tym, co mogło być ale czego nie zrealizowano. Czyżby i tym razem... Uwierzyć się nie chce.

Jeżeli ludzie, którzy dziś za Polskę odpowiedzialność ponoszą, nie znajdą się na wysokości zadania, jeśli się nie mogą zdobyć na twardą decyzję i doprowadzenie sprawy do końca, niechże zaraz odejdą. Bo zasłużą na potępienie współczesnych i przyszłych pokoleń.

Na palcach można w Wilnie policzyć te placówki polityczne, dla których telefon z Warszawy nie jest ostatecznym rozkazem i źródłem natchnienia.

Żyjemy w okresie/najgorszego z centralizmów, bo centralizmu biurokratycznego. Nieinteligentna, bezduszna centralizacja już zabiła indywidualność polityczną Wilna. Na partykularzu warszawskim nie rozumieją, że niszcząc niezależne ośrodki myśli dzielnicowej, wyjaławia się, a przez to i osłabia państwo. Orientacja Saskiej Kępy triumfuje...

Oczywiście nie stało się to bez winy społeczeństwa wileńskiego. Wina bardzo duża... Oportunizm nie tylko centralilizację ułatwia, ale staje się przyczyną zupełnie spontanicznej centralizacji. Oportunizm oto przyczyna procesów niwelacyjnych, które nasz teren do ostateczności wyjaławiają.

Oportunizm Wilna — temat nie tylko do osobnego artykułu, ale do osobnej książki, i książki w wielu tomach. Przypomnijmy sprawę generała Żeligowskiego, przypomnijmy echa ostatnich zajść... Ach! Możnaby snuć w nieskończoność.

Wiemy jedno napewno. Wilno nie odegra żadnej roli, nie spełni żadnego zadania, dopóki się nie przezwycięży oportunizmu miejscowego społeczeństwa, a przynajmniej jego czołowej ekipy. Jeden z wybitnych działaczy miejscowych zwykł jest mawiać: „Ludzie boją się u nas groźby czekoladowego rewolweru. Wiedzą, że jest z czekolady i nie wystrzeli, ale boją się, że się im nie pozwoli tej czekolady polizać". Symbolem nie może być ów rewolwer czekoladowy... Znamy zgoła inny symbol godny Wilna — symbol Żelaznego Wilka, jak ta wilczyca Rzymska, którą nam faszyści podarowali, składając hołd sercu Marszałka. Dopóki symbol żelaznego wilka nie stanie się prawdą, Wilno nie jest w stanie i nie odegra żadnej roli.

Ten jest warunek kardynalny. Obok niego kompleks spraw szczegółowych.

* * *

Uwagi poniższe będą luźnymi fragmentami. Nie silimy się na Syntezę, rzucając oderwane myśli.

I. Spór teoretyczny naród — państwo jest, dzięki Bogu, przebrzmiały. Ale utrzymuje się wciąż teza, że tylko na gruncie ideologii państwowej możliwe jest wznowienie założeń wielkiego programu wschodniego, określonego skrótem „idei jagiellońskiej". Nie możemy się z tym zgodzić. Uważamy, że słusznie twierdził swego czasu w „Paxie" prof. Świaniewicz, że możliwe jest ujęcie idei jagiellońskiej w kategoriach myślenia nacjonalistycznego. Poruszamy zawiły problem, wymagający osobnego omówienia.

W tym miejscu musimy poprzestać na samych tylko przeczeniach i twierdzeniach, bez głębszego uzasadnienia. Podjęcie jakiejkolwiek większej stawki dziejowej wymaga urobienia, wychowania całego narodu pod kątem widzenia tych zadań. Gotowość tego rodzaju osiągnięć militarnych możliwa jest tylko w imię mocnej i bardzo wyraźnie dla nas rysującej się idei. Przy tym idei umiejącej wywołać impulsy natury irracjonalnej. Ideologia „państwowa" jest zbyt efemeryczna, zbyt bezkrwista. Twierdzimy — odkładając dowód do późniejszej dyskusji — że współcześnie imperializm da się budować tylko na podłożu nacjonalizmu.

Tego nie rozumieją właśnie federaliści wileńscy liberalnego autoramentu. Dlatego bezwzględnie zwalczają, usiłując proskrybować, zwolenników koncepcji, jakby powiedział Adolf Bocheński, prometejskiej, o ile stoją oni na gruncie narodowym. Młode pokolenie usposobione jest nacjonalistycznie. Dynamikę młodych sił możnaby wykorzystać dla celów „imperializmu" polskiego. Niestety utrudnia sprawę zacofania t. zw. demokratów.

II. W latach 1918 — 1921 program federacyjny popierała lewica polska. Ale dziś program ten zwraca się przeciwko Bolszewii. Międzynarodowe zaś mafie lewicowe nakazują dążyć do porozumienia z Sowietami, a zaostrzać stosunki z Niemcami. Dlatego lewica polska jest dziś — prawie bez wyjątku — przeciwko naszemu programowi wschodniemu. Elementy zaś lewicowe trzymają w ręku wiele kluczowych pozycji, uniemożliwiając szerszą akcję przygotowującą przyszłą ekspansję na wschód.

Warunkiem spełnienia przez Wilno właściwej roli jest przezwyciężenie hegemonii elementów, które świadomie lub nieświadomie robią politykę folksfrontową.

III. Roli naszej na wschodzie nie odegramy, jeżeli kultura nasza nie będzie tu właśnie, na Ziemiach Północno-Wschodnich jaśniała pełnym swym blaskiem. Pamiętać trzeba, że rządy polskie na tej ziemi są dla sąsiadów naszych sprawdzianem walorów organizacyjnych i cywilizacyjnych narodu polskiego.

Dlatego administracja nasza ma być tu wzorem praworządności i ludzkości. Obowiązkiem społeczeństwa wileńskiego jest domaganie się tego z całą energią i nieustępliwością.

IV. Rzucamy luźne uwagi. Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej. Pozycja niesłychanej doniosłości. Kluczowa pozycja Wilna. Janusz Jędrzejewicz był wyjątkowo niefortunnym ministrem. Był przecież autorem ustawy uposażeniowej i „akademickiej", fundatorem P. A. L., inicjatorem barbarzyńskiego pomysłu zmiany hymnu narodowego i t. d. Ale nie wolno mu odmawiać jednej zasługi, której na imię — Instytut N. B. Europy Wschodniej. Dziś placówka rachityczna i słaba z bardzo nieudałą szkołą nauk politycznych, ale niewątpliwie olbrzymie możliwości na przyszłość. Jeden z najważniejszych atutów Wileńszczyzny. Uważamy, że, obok inwestycji gospodarczych, na tę pozycję zwrócić trzeba szczególną uwagę.

Społeczeństwo jednak ma prawo i powinno domagać się istotnych reform. Rozbudowywania nie wykładów prawa cywilnego, czy karnego, ale zatroszczenia się o to co istotne. Należałoby stworzyć katedry ukrainoznawstwa, kaukazoznawstwa, specjalne studia Krymu, Turkiestanu, Syberii i t. d. Wtedy placówka wileńska mogłaby istotnie zwrócić na siebie oczy świata. Przede wszystkim — wierzymy w to mocno — wzbudziłaby zainteresowania wszystkich narodów, walczących o wyzwolenie z pod jarzma Z. S. S. R. W ten sposób Wilno ma zupełnie realne szanse, by się stać stolicą emigracyjną ludów przez bolszewicką Rosję prześladowanych. Odpowiednio postawiony Instytut mógłby ściągnąć do Wilna emigrantów tych narodów. — To jest bodajże szansa największa!...

V. Instytut mógłby odegrać rolę głównego magnesu. Ale to samo nie wystarczy. Cała polityka winna konsekwentnie zmierzać do celu, aby z Wilna uczynić główne centrum emigracyj nierosyjskich z Z. S. S. R., a zarazem duże centrum badawcze Rosji Sowieckiej. Oczywiście należy się przygotowywać na akcję protestacyjną ze strony Bolszewii i nie dać się zbić z tropu tymi protestami. Niezbędne byłoby pozostawienie względnie dużej swobody organizacyjnej elementom emigracyjnym i oczywiście najpełniejszej swobody kulturalnej. Niezbędne byłoby przeprowadzenie odpowiedniej propagandy w całej Europie.

* * *

Należy się liczyć z sytuacją. Rzeczpospolita nie zawsze będzie w stanie prowadzić politykę odpowiadającą przyjętym tu założeniom. Będą napewno konieczne okresy odchyleń.

Tym większa jest rola Wilna...

Tutaj ma się zapalić ognisko zawsze żywej polskiej myśli politycznej, powiedzmy myśli „prometejskiej". Tutaj ma być wzniesiony trwały drogowskaz dziejowy dla naszego państwa i narodu. Wilno ma wciąż, bezustannie przypominać nam naszą misję na wschodzie. Rola stała, niezależna zupełnie od stopnia nasilenia polskiej polityki antyrosyjskiej.

ANTONI GOŁUBIEW

PRZEZ SZKŁA CHESTERTONA

Uważamy Chestertona za jednego z naszych wodzów. Był on tym człowiekiem, który uczył nas, kto jest wrogiem, a jednocześnie uczył nas rozumienia Turnbulla. I uczył nas patrzenia prawdzie prosto w twarz. Pisząc o jego śmierci zatytułowałem artykuł: „Człowiek, który patrzył na opak". Bo tak mówili o Chestertonie ci, którzy go nie rozumieli; ci, co byli tak mądrzy, jak owi trzej postępowcy z pierwszej noweli „Niedowiarstwa księdza Browna". Chesterton walczył z wrogiem twarzą w twarz, walczył z jednoczesnym usprawiedliwieniem wewnętrznym wroga, jeśli to był wróg uczciwy. Ale z nim walczono podstępnie, o nim mówiono, że patrzy na świat na opak. A było przecie odwrotnie: to świat patrzył na opak a on patrzył wprost.

I dlatego mówiono o nim, że jest niedorzeczny. Niedorzeczny to znaczy — nie do rzeczy. Rzecz, przedmiot, materia, to, czego możemy dotknąć, co możemy wziąć na język — oto jedynie są sprawy, w których świat dzisiejszy widzi prawdę. Reszta, to... niedorzeczność. Reszta to świat, który nie istnieje, który jest niedotykalny a więc nierzeczywisty, nieprawdziwy, niedorzeczny. A Chesterton go widział i walczył o jego zwycięstwo. Czyż nie był człowiekiem niedorzecznym?

Jeśli zaczynam dziś cykl artykułów w obronie niedorzeczności, powiedzą mi że popełniam plagiat. Bo czymże był ten słynny cykl chestertonowski dla wszystkich, przeciwko którym był skierowany? Był suchą formą, był niedorzecznym dowcipem, był paradoksem — jakby samo życie nie było najcudniejszym i najdziwniejszym pod słońcem paradoksem — był sileniem się na oryginalność i odwartościowywaniem wartości. Ale naprawdę był to tylko najcudniejszy sposób patrzenia na świat i jego sprawy. Była to nie metoda pisania a metoda życia. Była to nie forma felietonów a doszukiwanie się wartości w rzeczach wzgardzonych. Dla świata bowiem wzgarda jest zaprzeczeniem wartości i prawdy rzeczy wzgardzonej. A myślę, że może jest ona częściej dowodem prawdziwości i wartości. I jeśli popełniam, a właściwie: jeśli popełniamy, plagiat to raczej nie literacki lecz filozoficzny, raczej nie w sposobie pisania lecz w sposobie patrzenia i wiary.

Patrzę w dzisiejszą Polskę — ileż to mamy rzeczy wzgardzonych. Wzgardzonych a więc niedorzecznych. Wzgardzonych a więc godnych potępienia. Patrzę w Polskę dzisiejszą — trzeba w niej podjąć walkę o godność rzeczy wzgardzonych w imię ich dorzeczności. Patrzę w Polskę dzisiejszą i wkładam chestertonowskie binokle, te niezwykłe binokle, tak mocno i pewnie osadzone na jego grubym mięsistym nosie, a przez które świat wygląda tak całkiem inaczej, na opak, to znaczy — wprost.

Ileż spraw naszych jest przewróconych do góry nogami. Rzecz i słowo — oto dobitny przykład. Słowa nam zastępują rzeczy a rzeczy słowa. Ileż największych trosk, wysiłków i starań — w małym prowincjonalnym miasteczku i w dużym nowoczesnym mieście, na małym zebraniu towarzyskim i na wielkiej trybunie parlamentu pochłaniają słowa. Jakby słowami można było zakryć Polskę, jakby słowami można było rozwiązać i zburzyć państwo, jakby słowami można zbawić czy pogrążyć naród, jakbyśmy jedli słowa, spali na słowach, kochali słowa, jakby nasze fabryki wyrzucały opakowane, zawinięte, jaskrawymi etykietami opatrzone słowa. Słowa są naszymi władcami, są naszym celem, są naszym ideałem. A przecie słowa służą do mówienia o rzeczy. Tymczasem tylko do tego nie wolno nam użyć słowa, nie wolno nam mówić o rzeczy, o rzeczy pospolitej. Rzecz pospolita zna w Polsce współczesnej jedno słowo tylko w zastosowaniu do siebie a słowo to jest, niestety, słowem niepolskim, słowem nie naszej kultury, nie kultury zachodnioeuropejskiej, jest słowem barbarzyństwa: brzmi ono — tabu. Słowo jest dlatego cudowne, że może się stać ciałem i do tego jest powołane, taki jest plan stworzenia, tak jak taki właśnie był plan Zbawienia. Ale u nas sprawa jest postawiona na opak, u nas rzecz służy słowu, a słowa nie zamieniamy na rzecz, mimo że taki jest porządek rzeczy. Unosimy się w płynnym falowaniu słów i nazywamy to życiem, które przecie jest także i ciałem. Słowo, które nie jest dla nas twórcze, nie jest dynamiczne, nie jest początkiem, traci to, co jest jego istotą, traci ducha, a pozostaje zeń pusty dźwięk. Powiecie, że ta charakterystyka jest niedorzecznością i będziecie mieli rację, gdyż jest niedorzecznością, ale nie dlatego, że jest nieprawdziwa, lecz właśnie dlatego, że odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy. Zdaje się wielu ludziom, że odwrócenie naszego porządku rzeczy, oddanie słowu roli twórczej, inicjującej, rodzącej jest niedorzeczne; zdaje się wielu ludziom, że używanie rzeczy dla podparcia nimi swych wielkich słów jest normalnym porządkiem rzeczy. Ale w istocie sprawa przedstawia się na odwrót i nie dlatego, że tak widzi człowiek patrzący na opak ale dlatego, że sama sprawa jest postawiona naopak. Może się komuś wyda dziwne, że głowa służy do myślenia a nogi do chodzenia, ale tak być powinno. Tak przynajmniej świat wygląda, jeśli się nań spojrzy przez szkła Chestertona.

Włóżmy więc te czarowne, bo zwykłe i codzienne, binokle Chestertona, osadźmy je na naszych mięsistych czy suchych nosach i spójrzmy przez nie jak normalni ludzie. A jeśli ktoś mi powie: owe binokle są przystosowane do specjalnego szerokiego nosa Chestertona, dla naszych nosów są nieprzydatne—to mu powiem, że człowiek patrzy oczyma, nie zaś nosem. Ale może i to komuś się wyda niedorzeczne?

M. POKUTYŃSKI

DOKOŁA CHYBIONEGO PRZYMIERZA

W ciągu kilku ostatnich miesięcy „Pax" zajął wobec przełomowych decyzji w „Ozonie" stanowisko dosyć jednostronne, opowiadając się zbyt może wyraźnie za „Młodą Polską". Ponieważ piszę się „obu rękami" na to wszystko, co „Pax" reprezentował do tej pory, więc w tym wypadku zmuszony jestem wnieść zastrzeżenie, w myśl tej lojalności, jaka zobowiązuje wyznawców jednej idei.

Jeżeli się walczy „o chrześcijańską kulturę jutra", to trzeba być ostrożnym w doborze sojuszników, o wiele bardziej, niż inne obozy — a także szczególnie sumiennym w ocenach i osądach. P. Mirzyński w swojej „Muzyce Chochoła" dał trafny obraz pewnej zasadniczej słabości obozu piłsudczyków... lecz niestety nie dotknął wcale błędów po stronie „narodowców", nawet tych najmłodszych! Zgadzam się zupełnie, że „sta-

„wianie" na młody nacjonalizm było ze strony pułkownika Koca ideowo logiczne a politycznie mądre. Istotnie, rządząca dziś grupa legionowa jest w gruncie rzeczy bliska temu odłamowi młodzieży, tak przez swoją dynamikę i odwagę czynu jak przez umiłowanie nieprzejednane sprawy polskiej, wspólnej przecież choć pojmowanej rozmaicie. Różnice te przy dobrej woli obustronnej dałoby się napewno złagodzić, a po jakimś czasie nawet wyrównać... Atoli, tak jak we wszystkim na świecie, i tu okazało się decydującym nie to, c o się robi, ale j a k się robi. Owo „j a k" było w tym wypadku wyjątkowo wprost niefortunne — dlatego też nie mogło dać, niestety, innych wyników...

Tam, gdzie przeszłość nagromadziła tyle punktów spornych, tyle nieporozumień i urazów bardzo bolesnych — tam pierwszym warunkiem konsolidacji, a bodaj zbliżenia tylko, musiało być spuszczenie zasłony na tę przeszłość, czasowe a świadome przemilczenie jej zagadnień i zadrażnień. Historia wypowie swoje wyroczne słowo niezależnie od tego, co nam dzisiaj wydaje się ważnym. Spory „orientacyjne", zabójstwo Prezydenta, przełom majowy, to są wydarzenia zbyt świeże, aby mogły być obecnie rozpatrywane na zimno, lecz zbyt już dawne, aby w e d l e n i c h grupowali się ludzie, zdążający ku budowie jutra! Dlatego właśnie przemilczanie ich nie byłoby żadną małodusznością czy dezercją ale prostym nakazem rozsądku i pewnej „higieny" życia zbiorowego.

Niestety, nakazu tego nie wyczuto, stawiając właśnie na pierwszym planie w pierwszym numerze „Młodej Polski" — roztrząsanie tego nieszczęsnego „wczoraj", niby pojednawcze a w gruncie, fatalną rzeczy koleją, nieuchronnie drażniące. Kto wie, jakby się potoczyły dalsze wypadki, gdyby sobie darowano tę niewczesną i do niczego niepotrzebną paralelę pomiędzy Dmowskim a Piłsudskim... Z konieczności niepełna, z góry skazana na brak obiektywizmu tak u autora jak i u czytelników — nie mogła ona zadowolić wychowanków i wielbicieli ni jednego ni drugiego!

Nie masz na świecie chyba silniejszych uczuć niż miłość wzajemną wodza i żołnierza; jeśli ten żołnierz widzi poza tym i czci w swoim wodzu wielkiego męża stanu — wówczas trudno się dziwić, że wybucha oburzeniem, gdy mu ten ideał przyrównują do innego polityka, zwalczanego namiętnie od wielu lat. Oburzenie to przeszło dozwoloną miarę w zarzucie „sprzedawczykowstwa", ciśniętym Dmowskiemu przez lwowski zjazd P.O.W. —płomień jego oślepił tak dalece źrenice roznamiętnionych „wiarusów", że nie dostrzegli już wcale tego, co powinno by ich wzruszyć: szczerego entuzjazmu „Młodej Polski" dla czynu ich Wodza! A jednak jest to ludzkie, bardzo ludzkie... i łatwe było do przewidzenia.

Nie potrzeba też było aż proroka, aby z góry wiedzieć i wytłómaczyć, że dziwna pobłażliwość sfer kierowniczych Ozonu dla „pogromowych" wyczynów studenckich, otwarcie kolidujących z prawem i porządkiem publicznym, nie znajdzie uznania w kołach legionowych. I nie od takiej pobłażliwości rozpoczynać doprawdy należało świeżo zawarty pakt! Stosunek do sprawy żydowskiej, dziwacznie wynaturzony przez starą endecję, jest tym właśnie punktem ideologicznym, który trzeba by, choć po trochu, uzdrowić, jakoś racjonalnie nakierować... upodobnić do normalnego programu politycznego. Bo narazie nie jest to program, tylko rodzaj chorobliwej obsesji zbiorowej, która się wyładowuje w niepoważnych demonstracjach a często i w gwałtach, oburzających każde zdrowe sumienie, już nie tylko chrześcijańskie ale po prostu ludzkie. Powiedział ktoś dowcipnie, że Narodowa Demokracja byłaby w srogim kłopocie, gdyby zabrakło u nas nagle Żydów... czym bowiem potrafiłaby zapełnić tak ogromną lukę w swoim planie działania? zastąpić tak uniwersalnego winowajcę i wroga!... Pomimo oderwania się O. N. R-u od swej macierzy tę uwagę można by śmiało i do niego zastosować.

Że na dnie owej obsesji leży troska obywatelska i wiele nawet słuszności — nie wątpię wcale — niemniej przecie trudnego problemu nie rozwiążą burdy na uniwersytetach, które weszły już w smutną tradycję. Walka o „numerus clausus" była poważniejsza, bo celowa — ale żądanie oddzielnych ławek dla Żydów obraża ich godność ludzką a krajanie żyletkami kolegów (i koleżanek!), albo zrzucanie ich ze schodów, nie może być nazwane inaczej, niż barbarzyństwem. W rezultacie nie tyle szkody przynosi ono przeciwnikowi, ile nam samym, p a c z ą c d u s z e obłędną nienawiścią...

Dochodzi do tego, że Żyda nie uważa się w ogóle za człowieka a nakazy etyki wobec niego mają wcale nie obowiązywać. Oto przykład, jeden z najsmutniejszych: Ubiegłej jesieni w Warszawie odebrał sobie życie zasłużony legionista, gdyż z powodu semickiego pochodzenia spotkała go od dawnych towarzyszy broni jakaś poważna przykrość. Młodzież z „Falangi" uczuła się wielce oburzona tym, że przy trumnie zjawiły się poczty sztandarowe, wojsko i delegacje różnych organizacji. Trudno w to uwierzyć... a jednak naprawdę tragiczny ten pogrzeb zakłócony został gwizdaniem i ordynarnymi okrzykami. „Falanga" i cały O. N. R. przyznaje się podobno do katolicyzmu... jakże to pogodzić z t a k i m uczynkiem?!...?

A co się dzieje z obyczajami i całym rozwojem psychicznym chłopaka, wychowanego w przekonaniu, że wolno n. p.: wyśmiać i zelżyć na ulicy starca lub kobietę dlatego tylko, że jego wygląd wyda mu się „nie-aryjski"?... Rozwodzę się nad tym, gdyż takie przejawy, bynajmniej niewyjątkowe, niestety, kolidują jaskrawo z „chrześcijańską kulturą jutra" — a „Pax" milczy i dziwi się, że obóz legionowy sprzeciwił się ścisłemu sojuszowi z „Młodą Polską". Byłoby z pewnością inaczej, gdyby ten sojusz nie wyrażał się w schlebianiu nastrojom pogromowym ale od początku szedł po linii ich przemiany w zdrowy i racjonalny antysemityzm o charakterze przede wszystkim gospodarczym.

Źle się wzięto do rzeczy... i chyba nie mogło być inaczej, skoro nie wysunięto silnych indywidualności, które by naprawdę znały i kochały młodzież: a więc umiały z jednej strony uczyć się od niej, brać w siebie jej żar i czystość ideową — a z drugiej, wpływać swym doświadczeniem i powagą, imponować, prowadzić.

Nagromadzone błędy stworzyły niepowetowaną szkodę: oto dwa obozy, które chciano pojednać i zaprząc do wspólnego dzieła, są dziś, na skutek reakcji, dalsze sobie znacznie, niż przed rokiem. Zaś doprawdy — powtarzam raz jeszcze — w ich strukturze i psychice tkwią poważne dane do przyszłej współpracy nad potęgą Polski. Obyż one zatryumfowały na koniec nad ciasnotą obustronnych partykularyzmów, nad drażliwościami i uprzedzeniami!

Ale do tego potrzebni są ludzie rozumujący logicznie i kierujący się trafnym instynktem, ludzie zdolni do rozróżniania planów w perspektywie, do ofiarowywania mniejszych względów, choćby drogich, sprawie naprawdę wielkiej. I jeszcze jedno: porozumienie, przymierze, aby dla sprawy tej naszej było naprawdę owocne, oparte być musi nie na koncesjach dla wzajemnych słabostek i zboczeń, ale na tym, co w obu obozach jest najzdrowsze i najwartościowsze.

*

P. Marian Pokutyński jest jednym z najwierniejszych przyjaciół „Pax'u" dlatego głos jego ma dla nas szczególne znaczenie. Z przyjemnością możemy stwierdzić, że w zasadniczych dążeniach jesteśmy zgodni. P. Pokutyński tak samo jest zdania, że najszczęśliwszym dla Polski rozwiązaniem byłoby zbliżenie polityczne aktywnych piłsudczyków do młodych elementów narodowych. Różnimy się tylko w ocenie sytuacji.

P. Pokutyński stawia grupie „Falangi" ciężkie zarzuty. Obawiamy się jednak, że za mało zna tych ludzi i sądzi nieco powierzchownie. Termin: grupa „Falangi" — jest nieszczęśliwy. „Falanga" bowiem jest popularnym tygodnikiem propagandowym, na podstawie którego trudno jest ruch oceniać. W tego rodzaju organach zawsze taktyka góruje nad ideologią. Organem ideologicznym tej grupy jest „Ruch Młodych". Twierdzimy, że tylko „Ruch Młodych" [illegible] dać podstawę do oceniania [illegible] tego ugrupowania politycznego.

Gdy p. Pokutyński przypisuje tym ludziom różne, rzeczywiście niegodne, wybryki, trudno nam dyskutować, gdyż wypadków tych nie znamy. Ale nie będziemy się spierać! Zapiszemy to wszystko na rachunek „Falangi". Ale, czy ekscesy nie zdarzają się, niestety, w każdej niemal politycznej robocie? Niech ten rzuca kamieniem, kto sam jest bez grzechu. A młodych wszak pobłażliwiej sądzić należy niż ludzi, którzy już dziś odpowiedzialność [illegible]

Podchodzimy bardziej zasadniczo. Szukamy gdzie w młodym pokoleniu są ośrodki gorącej wiary w głoszoną przez siebie ideologię. Gdzie są ludzie naprawdę poczuwający się do odpowiedzialności za to, co się z Polską stanie, i gotowi do poświęceń w imię tej sprawy. To zdaje się nam najważniejsze. Na bezmiernych zgoła trzęsawiskach polskiego indyferentyzmu i polskiej słabizny, szukamy ośrodków woli i charakteru.

Oto dlaczego „grupie Falangi" przyznajemy jedno z naczelnych miejsc. Doświadczenie życiowe uczy niestety pesymizmu. Były już w Polsce liczne ruchy jak najlepiej się zapowiadające, które się gdzieś, na jakimś zakręcie załamywały, nieraz bardzo niesławnie....

Napewno zgodzi się z nami p. Pokutyński, gdy wyrazimy życzenie, by tym razem inny był rezultat, bo cieszyć się trzeba z każdego przejawu siły i mocy, który na naszej naprawdę smutnej równinie społecznej wyrasta.

Red.

„Każdy rząd, który wchodzi do pałacu Rady Ministrów, wchodzi tam szpalerem cieni, którym za nową Polskę odrodzoną umrzeć kazano. Te cienie patrzą naszym dostojnikom w oczy, czy wyczytają w nich to znamię wielkiej polskiej myśli i woli, za jaką położyły życie. Te cienie snują się do dziś po sali sejmowej, wyczekując słów, które zamkną przepaść w narodzie i pozwolą im odejść w pokoju. Bo z tą przepaścią przed nami, z tym rozdarciem, które bezsprzeczną większość narodu pozostawia w roli biernego i przymusowe popychadła, kroku dziś naprzód uczynić nie podobna. Można tylko stać w miejscu — czekać piorunu klęski.

A jednak są jeszcze tacy, którzy tę przepaść kopią dalej i kurczowo trzymają się pojęć mających utrwalić nadal stan rzeczy, jaki dzisiaj w organizmie narodowym jest jedną wielką raną".

(ARTUR GÓRSKI)

„W OBLICZU KOŃCA" — ANDRZEJA STRUGA

(Strug A.: „Miliardy". Warszawa. Geb. i Wolff [1937]).

O ostatniej powieści Struga „Miliardy" trudno mowić. Stanowi bowiem część zamierzonej przez poetę trylogii, ściślej: pierwszy tom, nie tworzący zamkniętej całości. Stąd wynika trudność powiązania wszystkich wątków, a nawet zrozumienia ich roli w powieści. Nie ułatwia sytuacji nawet to, że „Miliardy" są dalszym ciągiem „Pieniądza".

Już w połowie tomu nie możemy opędzić się wrażeniu, że tylko trzy pierwsze rozdziały „Nad New Yorkiem spoczywa mgła", „Dwadzieścia lat" i „Złoto" są naprawdę skończone i dają pełną wyrazu niezwykle sugestywną wizję Ameryki, której obraz życia chce Strug przed nami w „Miliardach" wyczarować. Reszta wygląda na notatnik poety, w którym na długich stronach zostały nagromadzone „realia", mówiące o kryzysie amerykańskim. Ledwie ich dotknęła inwencja twórcza. Może nie bez wyrazu są zresztą i te cztery ostatnie rozdziały, można i tu na tej glinie jeszcze nie przepalonej przez natchnienie doszukać się śladów ręki artysty, nie mniej czytelnik z ogromnym trudem przedziera się przez haszcze długich debat między mędrcami i potentatami New Yorku na tematy gospodarki światowej. Obraz, który chciał stworzyć Strug, przysypany jest żużlem z warsztatu literackiego, żużlem, który nie każdy potrafi odgarnąć.

Obraz Ameryki. Właściwie to stoimy wobec zarysów jakiegoś wielkiego płótna — mającego może ogarnąć analizę naszej współczesności. Na plan pierwszy wysunięty jest świat powojennych miliarderów amerykańskich, zmagających się ze straszliwą katastrofą gospodarczą, grożącą załamaniem się kapitalizmu w ogóle.

Czy jest jeszcze lekarstwo, mogące [illegible] ostatecznej klęsce — oto pytanie, które zwisa nad New Yorkiem Odpowiedź na to ma przybyły niedawno do New Yorku Niemiec czy Holender, Van Zypen, profesor, świetny znawca życia ekonomicznego, który stara się pozyskać jednego z największych bogaczy Stanów Zjednoczonych, Shurmana, aby przy pomocy jego dolarów przeprowadzić swój plan gospodarczy. Shurman — Van Zypen to [illegible]tryczna powieści.

Niestety, ten właśnie wątek jest przede wszystkim zatopiony w materiale, który nie został w po[illegible]

Van Zypen ma ciężki orzech do zgryzienia. Shurman jest człowiekiem ociężałym i sceptykiem, ale ostatecznie ulega. „Świat będzie uratowany" — głosi tytuł ostatniego rozdziału. Plan Van Zypena nie jest planem kapitalisty. Van Zypen nie jest jednak również wyznawcą bolszewizmu czy socjalizmu, bał się nawet kiedyś, że eksperyment bolszewicki się uda, wtedy bowiem „chamstwo zalałoby świat, zniszczyło naszą cywilizację i kulturę". Jest jakieś wyjście inne. Dylemat: kapitalizmu czy socjalizm, to według Van Zypena, owoc umysłów powierzchownych, płytkich. Jego plan to jakieś tertium. Wielka szkoda, że nie zobaczymy, jak Strug rozumiał rozwiązanie trudności, w jakich się znalazł świat obecny, skoro przekreślał dwie możne doktryny współczesne, jak przedstawiłby bankructwo socjalistycznej utopii — on, sztandarowy człowiek socjalizmu.

Dookoła tego naczelnego zagadnienia grupuje Strug wszystkie szczegóły owego obrazu. Poznajemy życie z drugim bohaterem powieści, Raldem Raseob. Jest to osiemnastoletni młodzieniec dopiero pasowany na dorosłego, który zaczyna uży[illegible] kolegium. Raseob — doskonały kandydat na bohatera jakiejś akcji romansowej, nie staje się nim jednak jeszcze w pierwszym tomie powieści. Jakaś tajemnicza awantura miłosna jego matki, znajdująca wyjaśnienie we wcześniejszym „Pieniądzu", jego własny romans z aktorką kabaretową i to bodaj wszystko, jeżeli chodzi o „ciekawostki" „Miliardów", wszystko i ledwie potrącone.

Wszystko inne, to wędrówki Ralda po New Yorku i zetknięcie się jego z życiem, mało podobnym do romansu. Oto też Strugowi chodzi przede wszystkim.

Ten młody człowiek po raz pierwszy czuje, co to znaczy być bogatym, nigdy przedtem nie wyobrażał sobie, jak bogata jest jego matka, dziś tego jeszcz ogarnąć nie może, ani wżyć się w świat królów węgla, nafty i t. d., i t. d., właścicieli pałaców, will na Miami i na dalekich oceanach, władców nakazujących milionom i żyjących z ich trudów. Patrzymy na bogactwo tego obcego nam świata i mimo woli przypominają się uczucia Ralda:

> [illegible]

On, któremu zdaje się brak ptasiego mleka włóczy się po zakazanych przedmieściach New Yorku, naraża się, mimo tego, że strzeże go z polecenia matki kilku agentów, na liczne niebezpieczeństwa, zawiera stosunki z podejrzanymi indywiduami, jak jakimś komunistą, Rosjaninem Borowiczenką, jakimś Wychgramem.

Wychgram nie rozumie jednak nędzy proletariatu.

Nędza... Widzi ją Rald, kiedy się włóczy po „zakazanych" ulicach, po podejrzanych barach, widzimy ją wtedy, gdy wokół pięknego Lincolna zbierają się tłumy gapiów, żebraków i „ciemnych" indywiduów, gdy do okna baru, w którym Borowiczenko wymalowuje przed Raldem obrazy przyszłego raju społecznego, przytula się czworo zgłodniałych dzieci, wpatrzonych z zachwytem w bułki [illegible]

Nędza, straszliwa nędza upośledzonych wyziera nie tylko z opowiadań Iny, aktorki, córki górnika z Salt Placid. „Ojca zamordowała kopalnia", matka została z czworgiem drobiazgu bez grosza odszkodowania. Dalszy jej los — normalny los nędzarki: od sprzedaży kradzionych kwiatów, żebractwa aż do domu niejakiej p. Atherton, „która nieraz ją zaczepiała na ulicy, częstowała cukierkami i obiecywała jej łatwe, słodziutkie [illegible]".

Rald sam zwiedza Salt Placid z powodu strajku górników, dokąd udaje się z jakimś filantropem. Akcja humanitarna bierze w łeb. Sterroryzowane są miejscowe władze, przekupione sądy, przekupiona prasa, policja przedsiębiorstwa radzi doskonale ze zbuntowanymi elementami. Metody nie są wyrafinowane, w czasie bójki dostaje się i Raldowi, który w szpitalu dowiaduje się, że właścicielem kopalni jest... jego matka...

Jakże inny jest świat pałaców, świat ulicy Czterdziestej Drugiej, świat sytych, możnych i szczęśliwych. Sytych i możnych, ale czy szczęśliwych?

N. p. Shurman? Ten,

> „na którego pracowały setki tysięcy ludzi, był sam najbardziej upośledzonym niewolnikiem bogactwa. Mozolił się bez miary i sensu i upadał ze znużenia". (Str. 183)

Skarżył się na brak czasu, a już nie umiał wypoczywać. Od szeregu lat nie otworzył ani jednej poważniejszej książki w swej olbrzymiej, jednej z największych bibliotek amerykańskich.

„Zdarzały się momenty, gdy brała go ochota rozrzucić wszystko na biurku, cisnąć na ziemię, zgarnąć na kupę i deptać, deptać na miazgę sprawozdania, raporty, memoriały, akty kupna i sprzedaży, umowy, opiewające na miliony, kalkulacje, wykazy. Do diabła sprawy arcypoważne, sprawy ogromne. Ze wszystkim raz do diabła! Potem zebrać zmiętoszone papierzyska i cisnąć do kominka, a gdy buchną płomieniem, zaryczeć z uciechy i zatańczyć a wreszcie zwariować". (Str. 186)

W chwilach rozpaczy ucieka do pokoju swej córki.

„Od niej promieniowały dobre łaskawe emanacje i koiły duszę ojca tu w nieszczęsnym, udręczonym bogaczu, przywalonym ciężarem miliardów, budził się człowiek pospolity. Roztwierało się w nim serce, roztwierały się oczy na nędzę i absurd jego bytowania". (Str. 188)

Tak samo męczy się bogactwem matka Ralda. Męczy ją ogromny pałac, galerie obrazów, „zbieranina niepotrzebna nikomu". Oddałaby chyba wszystko za utraconą niegdyś, brutalnie zawiedzioną, jedyną miłość swego życia.

Tak samo zachowują się wszyscy bohaterowie „Miliardów". Tak czuje Rald, którego przeraża i upokarza jego własne bogactwo, tak czuje pokazany mimochodem buchalter jakiegoś wielkiego przedsiębiorstwa, któremu bankructwo ukazało bezsens całego życia, którego nerwy nie są już zdolne wytrzymać straszliwego napięcia, którego pieniądze nie uszczęśliwiły a odebrały spokój, możność radowania się tym, do czego prawo ma największy biedak.

Ta wewnętrzna niedola przemawia silniej, niż kontrasty społeczne. To najsilniejszy argument, że świat, który złotu uwierzył, doszedł do absurdu. Bogactwo ma swoje ludzkie oblicze, którego nie widzą biedni ale dostrzega je Strug. A wpatrując się w nie, sięga dna duszy ludzkiej zawsze tej samej od wieków, przeżeranej chęcią posiadania, zaślepionej blaskiem, zatracającej w straszliwej gonitwie po giełdach i rynkach instynkt szczęścia i dlatego zawsze ostatecznie niesytej i smutnej, nie umiejącej już nawet uwierzyć w istnienie wartości zdolnych po brzegi wypełnić ludzkie serca.

Motyw ten, to motyw już potrącony w „Pieniądzu". Niesamowity taniec aktorki zakończony oddaniem się jej bożkowi złota w jakimś café chantanie jest nie tylko łącznie z opisem bawiącej się tam publiczności wyrazem amerykańskiej obyczajowości, jest on podniesiony przez Struga do roli symbolu, takie same znaczenie ma, ale o wiele mocniejsze w nastroju, niesamowita scena w sklepionej sali podziemia Federal Reserve Bank, w chwili pakowania przez robotników wysyłanego stamtąd złota.

„Głosy, ruchy, oznajmienia, potwierdzenia, skupiona oficjalność znamionowały jakby obchód rytualny, coś w rodzaju liturgii, gdzie słowa urzędników, słowa policjantów nie zwracały się do nikogo z obecnych, ale padały ku czemuś, ku komuś niewidzialnemu, a niepojętym sposobem czuwającemu nad uroczystym zabiegiem. Policjanci obojętni na wszystko, urzędnicy banku — zawodowi, rutynowani kapłani obsługujący w dniu powszednim złotego cielca mieli sprawujące to misterium twarze napuszone powagą i bacznością. Nawet robotnicy przyzwyczajeni do ładowania rudy, węgla, bawełny „tutaj wprowadzeni do najtajniejszego sanktuarium, gdzie w podziemiach spoczywa odwieczne i na wieki wieków czczone Święto świętych ludzkości, mieli oczy struchlałe, twarze zmienione. Żaden nie śmiał szepnąć słowa. Każdy co chwila ocierał pot z czoła, choć w piwnicy banku było chłodno a praca nadzwyczaj lekka". (Str. 54)

I wtedy w trakcie tej skupionej roboty jeden z robotników przestaje pracować, dzieje się z nim coś niesamowitego, nerwy nie wytrzymują napięcia, pada okrzyk, który jest bodaj głosem samego poety: „w martwym złocie kryje się tyle potęgi... Dziwna tajemnica... Jak do tego doszło! Kiedy się to zaczęło..."

Zaiste, straszliwa jest tajemnica magnetycznego uroku, jaki wywiera złoto na człowieka. Wpatruje się w nią Strug na rozdrożach swoich historiozoficznych dociekań, które są ustrojem krwionośnym „Miliardów". Z rozważań tych i zadumań rodzi się wspaniała apokaliptyczna wizja dzisiejszego świata, wtedy, gdy Rald wpatrzony w New York w oświetleniu wieczornym

„stał długo zapatrzony w zjawę. Niespodzianie ogarnęło go upojenie zjawy, ogromu i potęgi, jak gdyby po raz pierwszy w życiu pojął, czym był w istocie ów twór wspaniały i straszliwy — cud koszmarny, dziwoląg nieprawdopodobny, jakby przyśniony — New York. Nic podobnego nie może powtórzyć się w świecie. To wyskok czyjejś samowoli twórczej, rozmyślny a niepojęty błąd w procesie dziejowym stawania się, nieodgadniony spisek pokoleń, narodów i stuleci, chorobliwy, spotworniały przerost wszelkiego pojęcia o zbiorowisku ludzkim. Jego ogrom i natłok urągają wyobraźni, są nie do ogarnięcia wzrokiem ani umysłem, to miasto jest urągowiskiem ze zdrowego sensu, szatańskim eksperymentem — [illegible] świata, dowodem „ad absurdum" zupełnego pomylenia cywilizacji nowoczesnej... I co jeszcze! Jest przerażające i wspaniałe, odpycha i pociąga jak szaleństwo i zbrodnia. Kryje w sobie odmęt zagadek, całe jest jedną niezgłębioną tajemnicą. Czyjż podobieństwem jest rozwikłać splot nieprzeliczonych sił i zjawisk, przyczyn, celów, przeznaczeń, które się złożyły na obraz, stojący przed jego oczyma? Na ten nieogarniony wyraz w obliczu miasta, płonącego w łunach wieczoru, na jego potężne tchnienie zatrute, omamiające Rald patrzał, patrzał i pogrążał się w odmęcie".

„Jedno zdążył dostrzec — złe, okrucieństwo bijące jak mroźny wicher od tego miasta, przystrojonego w ognie, łuny i blaski. Jego nieprzebrane bogactwo, jego światowa potęga tchnęły fałszem, były znikomością wobec czegoś niewiadomego, co wchłania tajemnie, gromadzi się i grozi, jak nowy potop. Ten New York jest skazany i zginie, [illegible] pod gniewem i mocą jakiegoś wielkiego jutra, jak Sodoma i Gomora, które dosięgnął dzień ognia i pomsty obrażonego Bóstwa. Za czyje grzechy? Kto wie, czy na siedem milionów jego mieszkańców znajdzie się biblijne minimum dla dostąpienia łaski — siedmiu sprawiedliwych! Czyżby wszyscy byli winni? Wszyscy co do jednego, bogaci i nędzarze, to miasto jest przeklęte". (Str. 223—225)

Cytata jest przydługa, ale trudno oddać inaczej ten dziwny nastrój, jaki w książce panuje, nastroju przerażenia wobec straszliwego chaosu, wobec absurdów i paradoksów życia, zaprzedanego pasji posiadania i gromadzenia i przerażenia z powodu niewiadomego jutra, które się zbliża. Niezwykły to nastrój u Struga i dużo dający do myślenia.

„Miliardy" to dziwne „W obliczu końca" Andrzeja Struga. Może to wygłos człowieka odchodzącego i mimo wszystko bardzo odcinającego się od współczesnego sobie pokolenia powojennego. A może właśnie owoc tego, co umiał z tej epoki pochwycić, zrozumieć i uwiecznić, wielką skalę uczuć wątpliwości i niedopowiedzianych pytań wobec wielkiego dziś i wobec tajemnicy jutra świata, jutra Europy.

Nie pierwsze to w literaturze echo kataklizmów, które przeżywamy. Strug, wpatrując się w nie widzi tylko otchłań, przepaść, nie widzi drugiego brzegu, do którego można dopłynąć ani Prawdy, która może wyswobodzić, ani Idei, za którą warto oddać życie. I dlatego jego świat wydaje się światem skazanym na zagładę a życie miejscem gry bezmyślnego i niewiadomego fatalizmu, który skazuje je na rozwój ad absurdum, aby je potem zniszczyć w straszliwym pożarze, który się śni od dzieciństwa Raldowi.

New York zostaje w pamięci jak jakieś apokaliptyczne miasto antychrysta, symbol złości i niedoli współczesnego świata. Symbol świata, który zginąć musi, nad którym jakaś Niewidzialna Ręka wypisała biblijne Mane, Tekel, Fares. Jakże daleko jest od nas wiara, że Van Zypen ratuje świat. Zdaje się, że poeta sam nie traktuje tego zbyt poważnie.

Halina [illegible]-Widawska

O NASZYM STOSUNKU DO PRZESZŁOŚCI

Galsworthy w jednym ze swych dzieł napisał, że Polacy są ludźmi, którym się wydaje, że świat został stworzony dopiero po wojnie światowej. Zdanie to ma bardzo głębokie znaczenie. Zdawałoby się, że nie jest ono zgodne z prawdą. Naród polski wychowany na historii, karmiony historią, powinien mieć głęboki szacunek do tradycji, do przeszłości oraz do dorobku dawnych pokoleń.

W nas, przeciwnie, tkwi raczej barbarzyński pęd do niszczenia, trwonienia tego, co już dawniej przez innych było stworzone. Nie ma w naszym narodzie poczucia związku przeszłości z teraźniejszością. Chwila bieżąca przesłania nam przeszłość. Żyjemy wyłącznie dniem dzisiejszym. I to jest jeden z najsmutniejszych objawów rzeczywistości polskiej.

Anglicy, Włosi, Francuzi jak również Niemcy mają to głębokie poczucie związku chwili obecnej z przeszłością. Każde ich działanie ma swoje oparcie, swą podstawę w tradycji minionych pokoleń. Bez względu na to, jaka to będzie działalność, czy gospodarcza, polityczna, kulturalna, między czynem dzisiejszym a dawnymi ubiegłych wieków istnieje więź łącząca je w jedną całość. Cenią te narody, co zostało uczynione przez ich przodków. Dlatego też można bez obawy patrzeć w ich przyszłość, nie zniszczą one dawnego swego dorobku i nie pozwolą innym zniszczyć, a co więcej dorobek dawnych wieków pomnożą i powiększą.

Stan wiecznej zmiany, stan ciągłego wyczekiwania, chaosu, który panuje w Polsce nie pozwala nam patrzeć bez pesymizmu na stan Polski. W Polsce nie mamy poszanowania tradycji oraz co ważniejsze nie umiemy wykorzystać dorobku swego dla teraźniejszości i przyszłości. Stosunek nasz do przeszłości i tradycji przesłania blaga, wyrażająca się w retorycznych i jakże często pustych przemówieniach na pompatycznych obchodach. Ze swej przeszłości nie potrafiliśmy wykuwać nauk dla działania w teraźniejszości. — Czy nie tu leży główne źródło naszej słabości? Jesteśmy narodem Syzyfów. Nie umiemy budować, jak tylko ciągle na nowo, ciągle od początku. Pytanie niezmiernej wagi. Wielki problem wychowawczy...

G. Nowodworski

GIGANCI

I

Książka Walentego Majdańskiego, która ukazała się kilka miesięcy temu [1]) ma być „wizją godności ludzkiej i obrazem świata jutrzejszego". Autor, usiłując dać wizję takiego nieistniejącego świata, wkracza w dziedzinę utopii; ponieważ jednak więcej miejsca poświęca analizie współczesnego życia i potrzebom dojścia do życia doskonalszego, aniżeli samym obrazom przyszłości, przeto występuje raczej jako publicysta, niż marzyciel.

Majdański jest publicystą katolickim i podkreśla na wstępie, że przeznacza książkę „tylko dla wierzących". Aby treść „Gigantów" ocenić przyjąć trzeba następującą płaszczyznę rozumowania: katolicyzm w odniesieniu do trwania ludzkości jest bardzo jeszcze młody, zadań swych jeszcze nie spełnił, powinien rozwijać się i potężnieć, aby według swej nauki udoskonalić naturę ludzką. Chrystus bowiem zjawił się w pewnym określonym punkcie ziemi i w pewnej określonej epoce dziejów, a pochód Jego nauki w przestrzeni i w czasie, jak również przenikanie do głębi dusz ludzkich, podlega zwykłym prawom ewolucji.

II

Na wstępie autor wyjaśnia, jaka powinna być wiara. Przyjmuje, że jest ona wrodzona naturze ludzkiej, dowodzi, że do wzmocnienia jej dochodzi się siłą woli i świętym życiem. Nie wierzyć nie podobna, można tylko wierzę swoją wypaczyć. Rozum, nie poparty wolą, nie wystarcza ani do uświęcenia życia, ani do wytworzenia prawdziwej wiary. Wiara powinna być tak silna, aby jednoczyła w sobie wszystkie władze duchowe człowieka. Winna pokrywać się ze światopoglądem. Obdarzeni taką wiarą ludzie pozbawieni zostaną duchowej rozterki i słabości i zamienią się w istoty o potężnej sile duchowej, t. j. w gigantów.

Część I, zatytułowana: „Cywilizacje nieśmiałe", zawiera krytykę współczesnego człowieka. Poszczególne rozdziały noszą tytuły: „Wstydzenie się Pana Boga", „Kobieta - trumna", „Uwięzione wychowanie". Z zacięciem publicystycznym gromi rozwiązłość obyczajów, upadek rodziny, wygodnictwo, niechęć kobiet do wychowywania dzieci („kobieta-trumna"). W ostatnim rozdziale analizuje warunki wychowywania młodzieży; uwydatnia słabe strony izolowanego wychowywania „uwięzionego" w szkołach; dowodzi, że człowieka wychowuje całe środowisko i, dopóki starsi sami żyją w upadku moralnym i źle urządzają życie społeczne, nie może być w ogóle odpowiedniego środowiska wychowawczego.

Część II, „Świat Świętych", wprowadza czytelnika w świat „gigantów", t. j. ludzi zharmonizowanych psychicznie, obdarzonych silną wiarą, wolą, zdolnych do takich czynów, których przy dzisiejszym upadku woli i wiary nie możemy należycie sobie wyobrazić. Autor do tego świata wprowadza nas tylko, walcząc dalej z różnymi objawami ludzkiej słabości; w niektórych tylko miejscach daje ogólne zarysy świata udoskonalonego, wkraczając w dziedzinę utopii. Poszczególne zagadnienia rozmieścił w rozdziałach: „Wyzwolenie heroizmu", „Rodzina", „Samotnicy", „Ustrój wychowawczy", „Ziemia", „Wojna", „Pokój".

Część III, „Okres przejściowy", podaje szereg potrzeb, które należy doraźnie zaspokoić, aby przybliżyć erę szczęśliwszą. Przede wszystkim należy podnieść życie rodzinne i rozwijać wieś umysłowo, moralnie i gospodarczo.

III

Wyżej podane streszczenie nie odzwierciedla należycie charakteru książki, ponieważ podaje tylko tło, na którym przedstawione są liczne zagadnienia moralne i światopoglądowe. Rozważania swoje autor poświęca głównie sprawom powołania człowieka i stosunkowi do samego siebie i do bliźnich, przemiany świata zewnętrznego wyprowadza od przemian duchowych, od etycznego rozwoju. To też nie można oceniać książki na podstawie tego, co ona mówi o sprawach praktycznych i materialnych; wystarczy stwierdzić, że i te sprawy są potraktowane realnie (życie w rodzinie, związek z ziemią). Celem książki jest wykazanie, że światopogląd jest istotnym motorem, kierującym losami ludzi i kształtującym kulturę, a głównym źródłem niedoskonałości światopoglądu — brak odwagi. Cel ten został osiągnięty, ale stało się to kosztem pewnego zniekształcenia rzeczywistości, o czym niżej jeszcze będzie mowa.

Zaletą książki jest sposób wypowiadania sądów i haseł, nie zawierają na ogół nic takiego, o czym by człowiek oświecony nie słyszał, a więc pozornie nie zawierają nic nowego, a jednak są wyrażone tak, że zmuszają na nowo do myślenia, przekonują i przez to książka cała daleka jest od wszelkiej banalności. Widać w niej świeżość i oryginalność. Niektóre wypowiedzenia mają cechy aforyzmów.

Ale nie wszystkie ustępy zawierają tak cenne zdania. Pomimo wielu zalet, książce można postawić szereg zarzutów: 1) Niewłaściwy rozkład materiału, skutkiem czego treść różnych rozdziałów jest w wielu wypadkach pomieszana, 2) Ujmowanie niektórych dziedzin życia w sposób nieścisły lub niesłuszny (n. p. rola prokuratora, obrońcy i sędziego na str. 166), 3) Prymitywizm wielu określeń, nie licujących z książką o takim poziomie (n. p. podział czytelników na wierzących i tchórzliwych w przedmowie, niektóre określenia dotyczące obyczajności na str. 57, 115), 4) Zbytnie uproszczenia zarówno w ocenie zjawisk psychologicznych i społecznych jak i w rozumowaniu.

Domagając się niespokojnie i niecierpliwie udoskonalenia świata, autor niedość pamięta o tym, że do postępu zarówno moralnego, jak i materialnego, prowadzi bardzo mozolna droga, wymagająca opracowania wszelkich szczegółów, jakie wyłaniają się, coraz to inne, w miarę posuwania się w tym ogólnoludzkim pochodzie w przyszłość. Żadne uproszczenie, żadne pomijanie tego, czego nie widzimy, lub widzieć nie chcemy, nie przyśpieszy nam oczekiwanej epoki. I dlatego świat „Gigantów" jest bardzo jeszcze odległy.

Autor wyjawia dużą sugestywność, można by mniemać, że dotarł do jądra prawdy i poznał drogę, po której ludzkość dążyć winna. Ale nie poznał dostatecznie samej ludzkości, jej dotychczasowego dorobku i jej praw rozwojowych. Nie nawiązuje do historii, do tego, co już dokonane zostało w dziedzinie moralności i kultury. Nie posiada wyczucia ciągłości postępu moralnego. Dlatego tak krótko opracował najpotrzebniejszą czytelnikom część swego dzieła: okres przejściowy. Cała ta część umieszczona została zaledwie na 12 stronicach i składa się z jednego tylko rozdziału, dostosowanego tylko do warunków polskich, gdy tymczasem pozostałe rozdziały mówią o całej ludzkości. (Artykuł ten został zresztą świetnie napisany). Reszta książki omawia obszernie, ale niespokojnie, punkty wyjścia i mniej obszernie, za to spokojniej, punkty dojścia. Łączenie tych punktów odbywa się zazwyczaj łatwą metodą przeciwstawiania tego, co będzie, temu, co było.

Autor posiada wiarę w wypowiadane przez siebie hasła i umie je natchnąć siłą. W książce swej nagromadził wiele cennych myśli. Ale nie połączył ich należycie i w niejednym przeholował. Nakład pracy był za mały, aby sprostać wyznaczonym zadaniom. Książka o tak ogromnym zasięgu treści może stanowić piękny i wystarczający owoc pracy całego życia, tymczasem nosi ślady pośpiechu.

Władysław Liberek
Jarocin.

[1]) Walenty Majdański: Giganci, Warszawa 1937. Str. 234.

WYDAWCA: TOWARZYSTWO PAX. REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: ZBIGNIEW CIEŚLIK

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40, półrocznie 3.90 zł.; kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 2.50 dol., półrocz. 1.50 dol., kwart. 1.— dol. — OGŁOSZENIA: 1/1 str. 500 zł., 1/2 str. 280 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14 — 1. — Konto P. K. O. Nr. 144.229
Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 16-ej do 17-ej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 16-ej do 17-ej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49.